PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 14. *Warszawa, 4 kwietnia 1914.* Widok 3.

Najczarniejsza karta.

1.

Chłop polski stoi przy religji równie twardo, jak przy ziemi. Wiary gotów bronić tak samo, jak broniłby życia i ziemi. Związek ludu polskiego z ziemią jest związkiem natury religijnej. Wszelka jego miłość i wszelka jego nienawiść płynie z ukochania roli. Zagon rolny jest kolebką jego religijnych uczuć. Między członków rodziny bożej podzielił chłop naczelne czynności gospodarcze, iżby siły niebieskie wspierały go w pracy i w zamyśle. Pani *Siewna* prowadzi rękę jego, gdy rzuca ozime ziarno w rodną glebę. Pani *Zielna* ziarno uśpione budzi ku wiośnie, wyznacza porę kwitnienia i dojrzewania. Święci pańscy, niby straż, pilnują dobytku, chronią od klęski: ten od gradu, ów od ognia, tamten od niemocy lub zguby. Te wszystkie wyobrażenia, te wszystkie symbole starsze są niźli chrześcijaństwo i, prawdopodobnie, trwać będą jeszcze wówczas, gdy chrześcijaństwo się rozkruszy lub w nową przeistoczy formę. Dopóki stosunek człowieka, dopóki stosunek ludu nie ulegnie zmianie wobec sił przyrody, wobec potęg twórczych i potęg zniszczenia, wobec organizmu pracy jego własnej, póty religja ludu zachowa dawną postać, zmienną w szczegółach, niezmienną w istocie zasadniczej. Religja upada wówczas, gdy wysychają jej źródła. Umierać może tylko powolną naturalną śmiercią. Żaden zamach przemocy, podstępu lub ucisku zniweczyć jej nie zdoła. Ona się karmi krwią ofiar, poniesionych przez się, krwią wytoczoną przez ucisk i gwałt. Przemoc jedynie wzmacnia jej siłę i odporność. Przemoc może dziś przybić apostoła jej do drzewa hańby: jutro drzewo hańby przebóstwi się w znak zbawienia i — z chwałą wieków popłynie w nieskończoną przyszłość.

2.

Jakże wobec tego śmieszne i płytkie są obawy tych, którzy się ciągle o wiarę czyjąś lękają; którzy wiarę czyjąś chcą osłaniać, aby nie pękła, jak nitka, by się nie rozwiała jak mara, by nie znikła jak sen. Jakże płytkie i małoduszne są alarmy tych rzekomych żarliwców wiary, którzy przy każdym zdemaskowaniu nadużyć przez kler popełnianych, każą bić na trwogę w dzwony wszystkich kościołów, — wołając: Religja jest w niebezpieczeństwie! Wiara ludu może runąć!

Runąć? Jakto? Z głębinowych żywiołów duszy ludzkiej wyrasta, a od jednego zamachu pióra krytycznego miałażby runąć? A co ważniejsza: nie dzieje się religji żadna krzywda, zdaniem owych alarmistów, poki szalbierz w sutannie, lub pospolity w habicie zakonnym zbrodzień, pełni łotrostwa potajemnie? Krzywdę wyrządza się religji dopiero wówczas, gdy się łotra lub szalbierza za rękę na gorącym przyłapie uczynku?

Czyżby?!... Czyżby religja miała chwiać się tam, gdzie sprawiedliwość tryumfuje? Wiara w Boga miałażby upadać tam, gdzie zbrodnia nie pozostaje bez kary, a krzywda — bez zadośćuczynienia? Czyż wszechmoc boża do-

znała przeto uszczerbku, iż ojcu Rejmanowi (Ekscelencji!) odebrano klucz od skarbca Jasno-górskiego? Że Macochowi z dłoni topór bratobójczy wyjęto? Czyż opatrzność boża, w sercu wiernych sprawująca rządy, uległa przeto zaćmieniu, iż ogół oczy otworzył na podburzanie przez biskupa Łosińskiego ciemnoty ludowej ku bezprawiom? Bóg czyżby tam sobie w duszy wiernych podobał, gdzie kwitnie przed oczyma dusz owych przekupstwo, gdzie ewangelję apostołuje się pięścią, gdzie kosztem nędzy panoszy się zbytek, gdzie godność ludzka nikczemnieje?...

Odpowiedzcie na to, wy, którzy gromicie *Zaranie* i oburzacie się na *Prawdę!* Oskarżacie nas, iż w duszy ludu chcemy podkopać wiarę: podkopać wiarę w ludziach wierzących. Jakże szalony to zarzut i fantastyczny! Zarzut, co do szaleństwa równy temu, któryby kogoś oskarżał, że chce glob ziemski podkopać i... wysadzić w powietrze.

3.

Jakby na przekór domniemaniom, rodzącym powyższe zarzuty, rzeczywistość stwierdzić nakazuje, że przedział między ludem a duchowieństwem tam właśnie najostrzej się uwydatnia, gdzie lud najgłębiej jest religijny, gdzie najboleśniej napięta jest struna wiary: na Podlasiu. I jest to rzecz zrozumiała.

Wszędzie indziej kler ma do czynienia z mniej lub więcej bierną masą ludzi wierzących: na Podlasiu spotyka się z żywiołem wiary czynnej, bohaterskiej, częstokroć wiary męczeńskiej, tkwiącej jak w owym starym chłopie, Eljaszu Semeniuku, wbrew prześladowaniom... starej i nowej daty, i sięgającej wyżyn ofiarnego idealizmu.

Na Podlasiu wiara ludu ma za sobą świeżą, niewygasłą jeszcze tradycję walki, tradycję bojującego wysiłku; ma w sobie żywą pamięć ofiar i blizn, którymi została poznaczona, jak poszarpana od kul chorągiew. Jeśli gdzie, to tam, na Podlasiu, Bóg, Kościół, Wiara—nie są pojęciami oderwanymi od praktyki życia. Głębokimi pokładami trudu, poświęcenia, wytrwania i krwawej nieraz męki nawarstwiły się one w duszy tamecznego ludu, rosnąc z pokolenia na pokolenie, że niejeden kmieć prosty z pod Międzyrzeca lub Białej, sterany latami mozołu, latami teroru lub wygnania, mógłby w czeredzie apostolskiej stanąć, w świętej drużynie Piotrowej.

I stamtąd to, z ziemi podlaskiej, z ziemi, która na przeciąg kilku dziesięcioleci zmienić się musiała w katakumby, która czynami stwierdziła przywiązanie swe do kościoła katolickiego, która w imię tego kościoła przelewała łzy i krew własną: stamtąd właśnie dochodzą najczęstsze, najrozpaczliwsze przeciwko duchowieństwu skargi. «Djabłami, bezbożnikami nazywają nas księża w swych pismach,—czytamy w korespondencji grona włościan podlaskich,—mówią, że my wiary katolickiej się zrzekamy... Więc zapytujemy się was, opiekunowie duchowni, któż to tak tłumnie jechał w czasie wolności religijnej [1]) do poprawiania ślubów i chrztów, nie zważając na uciążliwe opłaty... I teraz jeszcze musimy włóczyć się po guberni z powodu złych metryk i zapisywań... a winę składacie na swoich poprzedników... Któż to odbył pielgrzymkę do Rzymu, prosząc o przyłączenie nas do kościoła?... A kto buduje tak wspaniałe kościoły na Podlasiu, jak nie lud?... niech zaświadczą ..... siedleckie i gminne, któreśmy odsiadywali; niech będą świadkami okolice Chersonu i Orenburga, jak myśmy trzymali się wiary rzymsko-katolickiej»... [2])

W tych słowach płonie żal i gorycz przeciwko duchowieństwu,—tak! Ale któż nie dostrzeże, iż to jest żal i gorycz zawiedzionej miłości? Że głębia żalu tego wybucha z ogromu miłości? Że poza tym żalem i goryczą kipi całe płomienne morze ślepego Kościołowi oddania się i wierności? Tylko dusze storturowane wygnaniem, tylko serca spalone nostalgją, mają ten spazm zapamiętania się w miłosnym, wiernym aż do bałwochwalstwa, porywie czci i służby bożej, zaprzysiężonej na wieki.

Cóż kler dzisiejszy, na spokojnych zabezpieczony parafjach, przeciwstawić może potędze moralnej tego ludu? Jaki czyn wspaniały? Jaką równej miary próbę charakteru? Cóż, ze swej strony, przeciwstawić może takiemu np. Semeniukowi, którego modłów krwawych ongi — Bóg jeden słuchał, gdyż w strasznej go-

---

[1]) To zn. po wydaniu ukazu tolerancyjnego w r. 1905.

[2]) Tekst korespondencji przytoczony dosłownie, jedynie z poprawkami natury ortograficznej.

dzinie próby, księdza przy nim nie było... żadnego?!

Ah, tak! prawda: część przeważna kleru, czując, iż ludowi czymś imponować trzeba, ucieka się do środków impozycji przeróżnych: ci imponują pięścią, owi elegancją, tamci przyjaźnią swą z... ramieniem władzy świeckiej. Znamy już te sposoby na pamięć.

Lecz, jakkolwiek liczne, jakbykolwiek potężne, przyznać chyba musimy, że, porównane z czynem i ofiarą Semeniuka, z ofiarami legjona jemu podobnych, wszystkie te «gorliwości» kleru kruszą się i kurczą, jak liście wobec pożaru.

4.

I tu otwiera się obraz, który historja kiedyś nazwie najczarniejszą kartą w księdze stosunków duchowieństwa katolickiego względem ludu.

Ludność podlaska nie należy do czułostkowych; nie grzeszy sentymentalizmem. Miała czas stwardnieć, okrzepnąć i stężeć w sobie pod gradem długotrwałych doświadczeń. Może jednak nie byłoby to z jej strony zbytnią serc słabością, gdyby po długich latach smutku, które ją cierniem oplatały, gdyby po długich latach czyśca powzięła nadzieję, że ją kościół oplecie kochającym ramieniem, do ojcowskiej kochającej piersi przyciśnie, stokroć nad innych troskliwiej: nie za jakoweś zasługi, nie! bo ów lud prosty i wierny—swej wierności za żadną sobie nie poczytuje zasługę, ale—za mękę wyrzeczenia, za tłumiony ból przymusowej rozłąki, za dni i noce samotne, w orenburskich stepach przemodlone.

Ale wyjść z obieży prześladowań, aby na drodze rodzimej spotkać się z oprawcą!.. Płonąć najczystszym ogniem wiary, ażeby ktoś ognia tego użył do wytapiania złota w tyglu gospodarki parafjalnej!..

To gorzej boli od najsroższych wspomnień.

Na błysk wiary, rozżarzonej w oczach chłopa, jedna tylko pada odpowiedź: błysk chciwosci z oczu księdza.

— Na Podlasiu lud jest bogobojny: — powiadają księża, — taksę postanowić można wysoką.

I to, że głębokość wiary mierzy się skalą wydajności zysków, że najniżej stoczył się materjalizm kleru tam, gdzie najwyżej wzbił się idealizm ludu, to daje najpotworniejsze świadectwo dzisiejszej historji kościoła w Polsce, to będzie najczarniejszą jego kartą w historji przyszłej: czymś gorszym, niźli «trzydzieści srebrników».

Skarżył się przed półwiekiem Krasiński, że szlachta — zmaterjalizowana do bezduszności — grób ojczyzny zasypuje burakami. Dzień dzisiejszy stawi nam przed oczy obraz niemniej smutny, a równie tragiczny: kler żywą wiarę ludu zasypuje gruzem i próchnem swoich dusz.

ORJON.

Echa Prawdy.

I. Druga bitwa pod Jeną. II. Biali murzyni w Mysłowicach.

I. Opodal słynnego pola bitwy pod Jeną kilkunastu potulnych polskich «obieżysasów», zapędzonych aż w te strony w pogoni za kawałkiem chleba — uległo podłej napaści ze strony tłumu piwoszów niemieckich, z których jeden strzelał do bezbronnych z dubeltówki, kładąc dwóch trupem, a kilku raniąc ciężko. Stąd wnosić można, że nastrój bojowy w Niemczech wciąż rośnie, zaś męstwo dzielnych Teutonów szuka sobie zazwyczaj ujścia w kierunku najmniejszego ryzyka: a więc walne zwycięstwa odnosi zakuty w stal olbrzym niemiecki nad... dziećmi w Alzacji i w Ks. Poznańskim tudzież nad bezbronnymi wychodźcami z Polski. Leży to zupełnie w charakterze współczesnego Niemca, który lubi tanią zabawę, tanią miłość i tanie... zwycięstwa. Może za to w przyszłości niedalekiej zapłacić... drogo.

Tymczasem jednak wszystko mu płazem uchodzi. Zwłaszcza nie ma potrzeby krępować się wobec Polaków. Zabójstwo dwóch Alzatczyków, Włochów lub nawet Rusinów pociągnęłoby za sobą różne nieprzyjemności, interpelacje, zaburzenia, kampanie prasowe i t. d. Ale kto się za Polaków ujmie, skoro oni sami przyjmują wszystkie plagi z fatalizmem, godnym derwiszów tureckich? Zabici i ranni pod Jeną robotnicy pochodzili z Galicji; czy sądzisz, czytelniku, że Koło Polskie, które lubi chełpić się swemi wpływami w Wiedeńskiej Radzie Państwa i które je niewątpliwie posiada — wystąpi z jakąkolwiek interpelacją? poważy się zakłócić majestat swoich posiedzeń taką niewczesną sprawą? a może z furją uderzy na przymierze austro-niemieckie? lub wywoła kwaśną wymianę not między Berlinem a Wiedniem?

Oh, nie! Nazbyt nobliwi, zbyt dobrze urodzeni są nasi posłowie, by mieli chylić się ze współczuciem i bólem nad rozlaną w Jenie chłopską posoką!

II. Podczas gdy w Jenie mordują Polaków, a rannych śpieszą żandarmi zakuć w dyby, w Mysłowicach, tuż nad granicą, krew się dotąd jeszcze nie leje, ale bije pod niebiosa rozpaczliwy jęk poniewieranej, zgłodniałej, stłoczonej jak bydło, a gorzej od bydła traktowanej ciżby polskich wychodźców, którzy roboty w Niemczech nie znaleźli, a wrócić nie mają za co.

Kobiety, mężczyźni i dzieci stłoczeni razem w ciasnym pomieszczeniu, w straszliwym brudzie i zaduchu, pod drwiącym spojrzeniem brutalnych dozorców — tworzą obraz, przypominający czasy niewoli murzyńskiej w Ameryce w pierwszej połowie zeszłego wieku.

Trudno, gdy się jest Polakiem, nie doznać straszliwego upokorzenia na myśl, że dziś w XX wieku, trzy istnieją na globie środowiska, gdzie godność ludzka, deptana grubymi butami oprawców, woła o pomstę do nieba.

Jeden z tych trzech kręgów piekielnych mieści się w Afryce niemieckiej i belgijskiej, gdzie ludność miejscowa musi w pocie czoła pracować nad uprawą kauczuku, a gdy stawia opór lub niedość raźnie pracuje — to bywa palona żywcem, wbijana na pal, rozstrzeliwana ryczałtem i topiona hurtem.

Drugi z kręgów piekielnych obejmuje wychodźtwo zarobkowe kulisów chińskich, morzonych głodem na dnie statków przewozowych, bitych, tratowanych, mordowanych przez białych dozorców, a w Kanadzie i w Kalifornji tępionych nożem i rewolwerem przez białych proletarjuszów...

Trzeci krąg piekielny obejmuje ziemie polskie i razem z emigracją polską rozlewa się po świecie, zstępuje do baraków, kopalń, hal przewozowych w Hamburgu, rzeźni chicagoskich i hut żelaznych w Pittsburgu. Niedola naszych obieżyświatów jednoczy wcale udatnie cechy niewoli murzyńskiej z opłakanym losem kulisów, pogardzanych i dręczonych przez tych, którym niosą w ofierze, za kęs chleba, bezcenny skarb swych pracowitych ramion.

I tak będzie nadal, dopóki nie zdobędzie się Polska na łatwy pozornie, a trudny w istocie heroizm, polegający na wprzęgnięciu wszystkich rąk polskich do pracy przemysłowej czy rolnej na rodzimym gruncie.

Jakże tu jednak marzyć o podobnych cudach, kiedy żaden, *literalnie żaden* organ warszawskiej prasy «stołecznej» nie zdobył się na wysłanie sumptem 12 rubli, własnego korespondenta do Mysłowic, gdzie przecież lud polski wije się w mękach ciała i ducha.

J. KRZESŁAWSKI.

Zatarg na Górnym Sląsku.

Na Górnym Śląsku wre walka, a prowadzą ją między sobą socjaliści niemieccy z polskimi. Kompromis 1906 roku, którego mocą socjalistyczna partja niemiecka uznała samodzielność P. P. S. zaboru pruskiego, niedługo trwał. Zatargi pomiędzy socjalistami obu narodowości utrudniały pracę wspólną. Dążność socjalistów niemieckich do przyznawania sobie cech narodowości panującej oburzała do głębi robotników polskich, bardziej, niż gdzieindziej, zwłaszcza wobec zapędów germanizacyjnych rządu.

W ostatnich kilku latach przekonanie, że w obrębie państwa niemieckiego nie powinno być miejsca na specjalną polską organizację, choćby złączoną z partją niemiecką tak ścisłym sojuszem, jak w ciągu 7 lat ostatnich, stało się powszechnem wśród socjalistów niemieckich. Najpierw odmówiono zasiłku dla katowickiej *Gazety Robotniczej*, lecz środek ten wywołał skutek, wprost przeciwny zamierzonemu: dzięki ofiarności Polaków-socjalistów ze wszystkich trzech dzielnic, *Gazeta Robotnicza*, wychodząca dotąd 3 razy na tydzień, zamieniła się w codzienny *Dziennik Robotniczy*. Widząc, że polski obóz socjalistyczny nie okazuje wcale skłonności do kapitulacji i nie chce stać się cząstką partji niemieckiej, niemieccy socjaliści zdecydowali się na środek radykalny i na kongresie jenajskim, pomimo ostrzeżeń ze strony wielu członków, lepiej znających stosunki w Polsce, przeforsowano uchwałę, znoszącą P. P. S. Uchwała jenajska nie godzi pozornie w narodowe interesy robotnika polskiego. Mówi ona o zaspokajaniu potrzeb robotników polskich w tych miejscowościach, gdzie się znajdują w znacznej liczbie, w ich własnym języku. Socjalistyczny obóz polski nie poddał się jednak tej uchwale, uważając, że najlepszą gwarancją wykonania tych postulatów będą nie papierowe uchwały, lecz istnienie samodzielnej partji. I rzeczywistość pokazała, jak dalece mieli słuszność.

Cóż się stało? Oto socjaliści niemieccy, przywykli do żelaznej dyscypliny partyjnej, poczęli stosować represje względem P. P. S-owców, zajmujących urzędy w związkach zawodowych i rugować ich ze swych stanowisk. Słabsi poddali się i wystąpili z polskiej partji. Silniejszych zastąpiono przez Niemców, z których niektórzy, podnieceni walką międzypartyjną, prze-

kroczyli ramy tego, co robić wolno, wykazując lekceważenie dla praw języka polskiego.

W takim położeniu rzeczy P. P. S. zwołała na święta Bożego Narodzenia r. u. zjazd do Oświęcimia, a więc już na terytorjum Galicji, co, ze względów policyjnych, okazało się dogodniejszym. Zjazd ten powziął radykalne uchwały, czyniące przedział między socjalizmem polskim a niemieckim jeszcze głębszym. Postanowiono zerwać z niemieckimi „Wahlwerein'ami" i wystawiać wszędzie swoich własnych kandydatów na posłów, nawet poza obrębem kraju, jak np. w Westfalji; następnie zaś postanowiono tworzyć odrębne Polskie Związki Zawodowe, również pomimo ostrzeżeń Diamanda, nie wierzącego w trwałość podobnych Związków.

Uchwała weszła w życie i polscy socjaliści z pod znaku Biniszkiewicza wzięli się energicznie do tworzenia tych Związków. Solidarność robotników, pracujących w zawodzie górniczym, każe się spodziewać, że uchwały oświęcimskie nie będą tylko czczą pogróżką. Przed Związkami rozwija się okres samodzielnej pracy. Z jednej bowiem strony niema mowy o połączeniu się z innymi Związkami zawodowymi polskimi, tak zwanymi Związkami Zjednoczenia, kierowanymi przez Sosińskiego i opanowanymi przez kler. Z drugiej zaś strony próby ponownego porozumienia z niemiecką partją, podjęte dzięki pośrednictwu posła Diamanda i rozpoczęte w początkach lutego w Berlinie, zakończyły się zupełnym fiaskiem. Skonstatowano różnicę poglądów, poczym obie strony się rozjechały. Gdy się wychodzi z punktu widzenia socjalistycznego, niewątpliwie zatarg międzypartyjny na Śląsku uznanym być musi za zjawisko niepomyślne i godne pożałowania. Organizacje socjalistyczne w państwie niemieckim zdumiewają świat cały swą karnością i sprężystością i każdy zatarg wewnętrzny w ich łonie osłabia tę potęgę, która zmierzyć się będzie musiała z bladnącą gwiazdą Hohenzollernów. Jednak, pomimo zdawania sobie z tego sprawy, krok polskich socjalistów w zaborze pruskim powitać należy z całym uznaniem. Nie chcieli oni przyczyniać się do tego własną pracą, aby z organizacji swojej czynić pomost do germanizacji robotnika polskiego, i aby podporządkowywać polską kulturę obcej, i postąpili słusznie. Tak też ocenili ich postępowanie socjaliści polscy z innych dzielnic. Na konferencji wspólnej P. P. S. D. Galicji i Śląska, P. P. S. zaboru pruskiego, oraz P. P. S., działająca na terenie Królestwa, wystosowały wspólny protest przeciw uchwałom jenajskim do Biura Międzynarodowego. Wkrótce potym przyłączyła się do tego protestu i P. P. S. (opozycja), organizacja, powstała przed rokiem. Tak się przedstawiają rzeczy w polskim obozie socjalistycznym. Co się tyczy konserwatywnych sfer społeczeństwa polskiego, nie tają one swojej „Schadenfreude", zamiast się cieszyć z usamodzielnienia ruchu, który na tych zagrożonych narodowo kresach przyczynić się musi do wzrostu polskiej kultury.

J. PAPINI.

Człowiek który nie — — mógł być cesarzem.

Z CYKLU: «TRAGEDJE CODZIENNE».

Człowieku-czytelniku, kimkolwiek jesteś, chciałbym cię w tej chwili mieć tutaj, twarz przeciwko twarzy; chciałbym się wpić oczyma w twoje oczy, i ręce twe ścisnąć w ręku, i głosem zniżonym zapytać: Pewnyś jest że żyjesz? Że żyjesz naprawdę, głęboko, całkowicie? Czy to życie twoje wydaje ci się tak piękne i tak wielkie, jakim, być może, śniłeś je w płonących nocach młodości?

I jeszcze bardziej zniżając głos, chciałbym się zapytać ciebie: Czy byłeś ty kiedykolwiek młody? Czułeś w swej piersi, w swych trzewiach, w swojej krwi, coś co wre, co kipi, co się burzy, co dygoce, co pragnie ujść, rozlać się, zatopić świat, jak płomienne morze? Czułeś kiedykolwek, w jakowejś chwili uniesienia, po cudnym zachodzie słońca, po jakimś wierszu poety, czułeś ty wówczas, że jesteś we własnej swej osobie pierwszym na ziemi człowiekiem, odkrywcą życia, odkrywcą świata? I czyż nie zdaje ci się marne to życie, i czyż nie zdaje ci się maleńki ten świat? Czy nie zapragnąłeś śmierci z nazbyt mocnego ukochania życia? Czy nie zaznałeś tęsknot Aleksandra wobec dalekich niebiosów?

O to chciałbym się zapytać ciebie, biedny czytelniku, ciebie biedne człeczątko, które czoło nad papierem chylisz, aby wsłuchać się w tętna życia cudzego, bo żyć własnym życiem nie umiesz, bo działać na własny rachunek nie potrafisz. Czy nie zdaje ci się żałosna, licha, najlichsza w świecie, czynność, której się oddajesz? Siedzisz na krześle, przed sobą masz karty papieru, a na nich znaki czarne, które przebiegasz oczyma: duszyczka twa uśmiecha się lub popłakuje, widzi lub przewiduje, w miarę jak czarne znaki przemocą budzą w tobie senne obrazy. A ty, czytając książkę — jesteś pewny — wierzysz, że żyjesz! Wyszedłszy na ulicę, z lekceważeniem spoglądasz na tłum pospólstwa, które nie jest *au courant*, które nie docieka psychologji i nie karmi się literaturą. Ja — powiadasz o sobie — należę do ludzi ukształconych, myślących, do arystokracji ducha, jestem cząstką elity. Wokół mnie świat się obraca, dla mnie świat jest stworzony. I jeśli

nie będzie szedł według mej woli, wygnam precz maszynistę, przerobię świat na swą modłę. W taki to sposób bawię się i bujam, a w domu u mnie nie znajdziecie nic prócz fotografji dzieł sławnych, prócz najdroższych wydań znakomitych pisarzy. Wysoki kołnierzyk oraz mętne słowa: oto znamiona mego stanowiska. Jam jest król swego czasu, król-duch, król wieczności.

Mówisz-li to wszystko sam do siebie, czytelniku żałosny? Rzecz to możliwa: wierzę w to, wyobrażam to sobie, pragnę tego. Ponieważ mówię właśnie dla ciebie i chciałbym ciebie mieć tuż przed sobą, abyś czuł na czole swym gorący oddech mojej wzgardy. A gardzę tobą, o, czytelniku! gardzę tobą z pobudek strasznych, z pobudek nienawistnych, bolesnych: ponieważ sam jestem bardzo do ciebie podobny, ponieważ, może, jestem taki sam, jak ty o, czytelniku, — ponieważ *sam jestem tobą*, być może...

* * *

Jak widzisz, więc, przyjmuję twoją rolę. Biorę ją bez lęku, choć bardzo jest smutna twoja rola, o, pijaku słów! który mnie czytasz. Nie lękam się pytań własnych. Aby być zmuszonym do odpowiedzi na nie, zabrałem się do pisania tych kart, a raczej do ich — krzyczenia. I pytam się raz jeszcze, głosem podniesionym: Czy żyjesz? Czy wierzysz, w to, że żyjesz górnie, głęboko, całą piersią?

Odpowiadam: Nie, nie wierzę. Nie, nie wierzę w to, iż życie jest wielkie, głębokie, całkowite. Jak wszyscy, jestem słaby, jestem nikczemny i zżarty poniewierką! W swej izbie na ścianach mam cały świat malowany: mężów wyciętych z kartonu, kobiety w barwnych strojach, góry w obłokach. Wszystkie te obrazy rozwiesiłem w należytym porządku i, kiedy trafi się dzień słoneczny, wszystko to razem tworzy nadobną całość. W domu przebywam prawie ciągle. W pokoju mym zamyka się cały świat mój i całe me życie, więc codzień zanoszę modły do swych bogów domowych i plwam na ludzi, którzy przechodzą ulicą pod mymi oknami, którzy nie mają w swym pokoju urządzonego tak mile, jak mój, małego sztucznego światka.

Śród czterech ścian pokoju jestem w swoim królestwie. Patrzcie, ile pięknych póz! Jednego dnia przybieram postawę wspaniałą gromowładnego Zeusa, i mówię do swych lalek: wiedzcie, jestem wasz bóg i władca; jestem wasz twórca i kat; mogę przenieść was na inne miejsca, albo — unicestwić. Mogę, naprzykład, ciebie, rogaty dudku, schować na dno skrzyni, miast pieścić oczy twym obrazem na wierzchołku szafy a ciebie, swawolna tanecznico, mogę wyrzucić przez okno, miast patrzeć na wieczne grymasy, krzywiące twą różową twarzyczkę z papieru.

Innego znowu dnia, przeciwnie, wstępuję w progi swego pokoju z miną znudzonego Fausta. Zamykam okna, by scenie nadać wygląd tajemniczy, powlekam szarym pyłem rzeczy, aby zdawały się tchnące smętkiem, siadam ponuro na sofie, wykrzywiam usta, oczy wznoszę ku górzę i nakoniec wybucham płaczem, łzami gorącymi szlocham nad pustką mądrości i nad ułudami świata.

Lecz mniejsza o to, czy jestem klasykiem, czy romantykiem: zawsze bywam tylko dzieckiem nieszczęśliym, które bawi się zamknięte w swym pokoju i, aby się pocieszyć, powtarza: na dworze jest za zimno, i — na ulicach pełno jest wilków.

* * *

Jestem — czyliżeś to odgadł? — *mózgowcem*. Mózgowcy stanowią rodzaj niozmiernie ciekawy: warto się z nim zapoznać. Opowiem ci dzieje naszego przodka, ojca nas wszystkich, dzieje tak zabawne, że ich zapomnieć niepodobna.

Onego czasu mąż pewien obuł chodaki, odział się opończą i wyszedł z domu, kierując się na Wschód, ażeby podbić świat. Wielkie niosły go myśli. Serce jego było większe niż wielkość świata. Myślał: zdobędę królestwo tak rozległe, iż gońce osiwieją, nim zdążą do granic jego dobiec, rozkazy moje przynosząc — zdobędę skarb tak olbrzymi, iż, gdy mi przyjdzie ochota będę mógł jezioro całe dukatami wypełnić. Białych jak alabaster kobiet używać będę na łożach koloru fali morskiej — rozbiję pułki nieprzyjaciół, miażdżąc je, gdzieś nad przepaściami, gromem swego wejrzenia. Dziś jestem człek mały i ubogi, płaszcz ledwo barki me okrywa, lecz myśli moje są wspaniałe: chcę zostać panem wszystkiego, co istnieje, i panem wszystkiego, co żyje.

Mąż ów przyszedł do jednego miasta i skoro oznajmił, że chce zostać królem i poprowadzić mieszkańców na wojnę, ażeby stworzyć sobie wielkie królestwo, wszyscy poczęli się śmiać dokoła niego. Wtenczas postanowił sobie, iż ukarze to miasto, kiedy wzrośnie w siłę, i poszedł w inne strony, gdzie go spotkało to samo. W ten sposób obszedł świat cały, i we wszystkich krajach śmiano się z niego i częstowano go jałmużną, jak żebraka albo szaleńca.

Aż wreszcie kiedyś znalazł się znów przed progiem swej chaty. Nic się nie zmieniło: tylko obuwie na stopach jego było zdarte, płaszcz był poszarpany i dziurawy w wielu miejscach, a włosy na głowie zbielały. Wrócił do domu i pomyślał sobie: „Nikt nie chciał pójść za mną. Nie miałem siły na to, aby poprowadzić do boju choć jeden hufiec. Nie zdobyłem nawet skarbu. Nigdy zapewne nie stanę się panem świata"- Wtenczas począł dumać nad swym łosem i przez szereg dni trapił go ciężki smutek.

Lecz pewnego ranka — było to w połowie marca, i na łąkach już wykwitały kaczeńce — zbudził się wesół i rzekł sam do siebie: „Zrozumiałem nareszcie swój los. Byłem ślepcem, gdy szedłem na podbój świata. To, co zamierzałem zdobyć, nie było światem prawdziwym, rzeczywistym i jedynym, ale światem przywidzeń, ułud i pozorów. Było światem ciurów i przekupniów. Świat prawdziwy odsłania mi się tylko w myślach, we mnie samym, i panem jego mogę być o każdej chwili, bym tylko go poszukał w sobie, w jaźni własnej głębiach.

I z kagankiem zapalonym w ręce udał się mąż siwy na poszukiwanie świata głębin, prawdziwego świata, świata doskonałego. Mąż

ten zaś — zapamiętaj to dobrze! — był ojcem wszystkich poetów, ojcem wszystkich metafizyków, ojcem wszystkich marzycieli. Dał on początek rodowi tych, którzy, nie posiadając ani skrawka świata rzeczywistego, tworzą sobie codzień sto maleńkich światków z błękitu, z dźwięku, z farby. Ja zaś i ty — czytelniku — i wszyscy nasi towarzysze jesteśmy ostatnimi wnukami owego męża, który nie mógł być cesarzem.

L. BRUNN.

Szczególny objaw.

— Czy ci też przyszło do głowy, czytelniku — pyta młody literat w jednym z nowych miesięczników warszawskich — że Warszawa, produkująca na eksport obuwie i galanterję, perfumy i lustra samogrające (made Nalewki-street) Warszawa importująca surowiec i bydło stepowe, Warszawa, stacja-tranzyt dla handlarzy żywego towaru — rok rocznie wysyła pewien poważny artykuł, o którym jakoś dziwnie w ostatnich czasach przycichło, mimo *że* artykuł to niepośledni, drogi, a choć ani mięso, ani żywe ryby, ani jarzyny, ani towar, wymagający pośpiesznego transportu i patentowanych, konserwujących chłodni — cenny, wrażliwy i *łatwo ulegający zepsuciu?*...

— Młodzież... Przyszłość narodu. Ta nasza młodzież mianowicie, której w Petersburgu na wszechnicy, w akademiach, w wyższych zakładach specjalnych, na kursach — przebywa tysiące... Nie słychać tu jej żywego głosu. Wyziębione jakby i puste wydają się ulice. Lecz za tymi, co na tułaczkę skazani dobrowolną, rozsnuli się po świecie — poszła wślad nadzieja.

Co robi nasza młodzież? Nie wiemy. Ale niekiedy, pośrednio, podana dojdzie wieść — nieradosna. Więc teraz naprzykład, dowiaduje się Warszawa, że młodzież nasza doznaje niebezpiecznych olśnień — już nie na Zachodzie, lecz na Północy.

Inne są przecież wrażenia ludzi dojrzałych i doświadczonych, a inne — świeżo upieczonych, studentów, patrzących na ten świat nadnewski szeroko rozwartemi młodzieńczemi oczami.

W tych wrażliwych źrenicach odbija się wnet obraz północnej niesamowitej potęgi...

— „Pałace! konie spiętrzone w granicie! Skok szeroki nad zimną falą.

— Biblioteka Publiczna! Trzecia na świecie. Miljony druków. Bogactwa nieprzebrane. Poezja.

— Wjeżdżamy na plac pałacowy. Pośrodku — kolosalny monolit, w głębi — olbrzymia fasada Pałacu Zimowego. Oto Newa. Wspaniała! Kolosalne — olbrzymie — wspaniałe! Coraz gęściej zapada mgła. Z tępym sykiem przesuwa się motor połyskliwy. W motorze paź w kasku i wychowanek Liceum — rozparci..."

Tak z wielkim talentem odtwarza Zdzisław Kleszczyński pierwsze wrażenia naszych studentów nad Newą, lub może — snuje wątek własnych niedawnych przeżyć.

***

Idźmy dalej za biegiem rozbudzonych myśli. Student polski podziwia w Ermitażu Rubensa, Rembrandta i Van Dycka... „A potem: przyjdzie zmierzch. Popłyną godziny. We właściwym czasie staniemy u podwoi Moskowskawo Chudożestwiennawo Tieatra."

„Przed zachwyconemi oczami naszemi roztoczy się w cudownych, nieporównanych dekoracjach legienda o Błękitnym Ptaku.

Albo—nie! Czechowa słuchać będziemy — Czechowa... w skupionej powadze *najpierwszego* światowego teatru zaczną nam grać na duszy rosyjską bajkę szarych dni...

W pewnych chwilach, gdy nam wzruszenie zajrzy do oczu — poczujemy, coś, jakby żal.

Czechowowi przeciwstawiamy — kogo? Może Bałuckiego?

Boże kochany... A gdzie nasz Gogol? — Fredro? Tak?

Wobec tych olśnień poczujemy się mali, ubodzy, śmieszni, — ubogimi kuzynami z prowincji wydamy się sobie wobec *starszych braci.* Po przedstawieniu, gdy inteligentny, bujny, kolorowy tłum młodzieży pocznie się wysypywać z portyków teatru, pobiegniemy myślą do naszych przeraźliwie nieraz pustych Rozmaitości, do chwiejnych kulis Teatru Polskiego, aż zatrzymamy się wnet przed gmachem Nowości, gdzie, jak rok okrągły, Warszawa powraca z szaloną radością, by słuchać „Wesołej wdówki" albo patrzeć, ile ładnych dziewczyn tańczy w „Targu na dziewczęta." I jeszcze:

... „w teatrach obok Nikischa czy Sofonowa, czy Weingartnera — Litwinne, albo Bolska, albo Kuzniecowa — dalej: w balecie — Pawłowa, Karsawina, Niżyński. Kolorów sto, przepych talentów; mają Szalapina, mają Smirnowa i Sabinowa — zachwycających świat. Mają Musorgskiego, Rimskawo-Korsakowa, Borodina, Czajkowskiego, tylu, tylu, tylu...

A gdy widzimy bajeczne zeszyty „Zołotowo Runa" albo innej przebogatej rosyjskiej „Chimery" — myślimy o utopionych tysiącach Przesmyckiego Mirjama... A dalej — wystawy...

Benois, Somow, Bakst, Lanceré, Sierow, Kustodjew, Gołowin, Wróbel, Dobużyński.

Orjentalne bogactwo, infernalna głębia, kapitalne talenta, kolosalna moc. Olśnienia...

Toniemy w tym zalewie bogactwa. Z rumieńcem przypominamy sobie nasze „salony malarskie“ na Nowym Świecie, wyjącą nudę w Zachęcie, w operze — dekoracje z przed lat, kiepski tombak smaku, ubożuchne zdobnictwo, nieudałe eksperymenty zaprezentowania Europie polskiej twórczości...“

***

Takie są te młodzieńcze „olśnienia,“ takie budzą się nad Newą myśli i reminiscencje w niedojrzałych jeszcze głowach, takie odźwierciadlają się obrazy w rozwartych niepomiernie oczętach naszych mazowieckich, podlaskich, wileńskich — chłopiąt...

Zielone są to zachwyty, trochę śmieszne „olśnienia“, naiwne to zestawianie Gogola z Fredrą, a Bałuckiego z Czechowem. Zapewne.

Ale czy wolno zbywać to wszystko wzruszeniem ramion lub uśmiechem pobłażania? Czy możemy przejść do porządku dziennego nad tym osobliwym stanem ducha, co kładzie w usta naszej młodzieży okrzyki podziwu, zaś dusze przygniata poczuciem ubóstwa i małości „kuzynów z prowincji wobec starszych braci“...

Przecież tu zarysowuje się bardzo niepokojący objaw. Chwilowa to może dezorjentacja wskutek nadmiernych „olśnień“, ale trzeba zanotować fakt wielce niemiły, że pewna część młodzieży widzi „starszych braci“ na północnym wschodzie, wbrew oczywistym świadectwom dziejów kultury, gdzie słowiańszczyzna zachodnia chlubi się niejedną złotą kartą już wówczas, kiedy wschód słowiański świecił bielą pustyni.

***

Czemże Petersburg imponuje chłopiętom podlaskim i mazowieckim? Chwałą starej, czcigodnej kultury? Wysokim poziomem cnót moralnych, umysłowych i politycznych? Urokiem stylowych, odwiecznych gmachów, jakby zadumanych nad losem całej naszej cywilizacji, którą znały jeszcze w kolebce?

Bynajmniej! To wszystko wyczuwa i widzi Polak na Zachodzie, nad Renem, nad Tybrem i nad Sekwaną.

Tam, istotnie, z murów i pomników rzymskich, z baszt rycerskiego zamku, z fasad posępnych pałaców, zdobionych stylem Odrodzenia, z gotyckich sklepień, z witraży i fresków kościelnych, nawet z wązkich i krzywych ulic prastarego grodu — bije potężny, porywający czar, urok pokrewnej wielkiej kultury naszych rzeczywistych „starszych braci“, kultury, do której garniemy się chętnie i przed którą chylimy czoła z respektem i czułością.

***

Zgoła przecież inne są te północne „olśnienia“, cytowane powyżej. Składa się na nie zewnętrzny ogrom, zewnętrzny i może złudny pokaz przepychu, potęgi i dumy, zewnętrzny również i nawskoś materjalny przejaw materjalnego władztwa nad wielką przestrzenią globu.

Naiwnym oczom chłopiąt niezmiernie mogą imponować rozległe, szerokie i długie, pod sznur budowane „prospekty“, ogromne fasady domów koszarowych, paziowie w kaskach rozparci w lśniących „motorach“, bujność i przepych wystawnego życia sfer uprzywilejowanych, obchodzących, zda się, huczne gody w kapiących od złota przybytkach uciech; jednem słowem, cały ten ogłuszający, olbrzymi kiermasz, możliwy jedynie w ogromnym Babilonie Północy. Pod tym, czysto zewnętrznym kątem patrzenia, istotnie może się Warszawa wydać zbiedzona i nikła, szara i podrzędna. Ale — czyż tylko ona?

Jest że to powód dostateczny, żeby czuć, jak pisze p. Kleszczyński, coś „jakby wstyd, coś jakby upokorzenie, coś, jakby żal“? i żeby tak zaraz — degradować się dobrowolnie na stanowisko „ubogich kuzynów z prowincji“ wobec — „starszych braci“?

Sądzę, że tu młodzieńcza, nadmierna wrażliwość, pobudzona zewnętrznem „olśnieniem“ — wzięła na kieł dość nierozważnie i — poniosła w niewłaściwym kierunku.

***

Trzeba zresztą przyznać, że nietylko młodzież odznacza się taką wrażliwością.

Tłum nawet wielkomiejski, złożony z ludzi dojrzałych, zdradza dziecinne wprost upodobanie do wszelkiej wystawności i pompy. Francuzom a zwłaszcza paryżanom dolega dotąd nikły ceremoniał republikański: prezydent we fraku i w cylindrze, otoczony rojem cywilnych również dygnitarzy, wcale ich nie zadawalnia. To też ważnym atutem rojalistów, i bonapartystów jest ów utajony w każdym francuzie „gamin“, który przepada za splendorem nieodłącznym od każdego tronu.

Dla naszego kmiecia widokiem niezapomnianym jest ingres biskupi; arystokracji naszej potrzebne są do szczęścia posadzki i podwoje dworskie; ziomkowie nasi z Wielkopolski w cichości ducha wielbią i podziwiają Berlin, a galicjanie przywożą z Wiednia oczy olśnione, jak od słońca.

Pogodzono się u nas z tym zjawiskiem, znajdując pociechę w myśli, że Berlin, choć kiepsko, niezgrabnie i tandetnie, wyobraża jednak ducha zachodniej kultury, że Wiedeń jest stolicą państwa, złożonego z krajów autonomicznych, a więc poczęści i stolicą Polaków, poddanych berłu habsburskiemu.

Ale inne, bardziej niepokojące będzie znaczenie olśnień, doznanych na północy.

Zwykle osłaniał nas dostatecznie puklerz, ukuty z hartownego poczucia wartości i mocy kultury własnej, zawsze wysokiej i dostojnej, choć pozbawionej tych zewnętrznych pozorów, które tak fascynująco działają na tłum.

Poczucie to nie osłabło. Może jednak zawcześnie, zanim ono dojrzało, wystawiamy je na próbę w osobie tej naszej młodzieży, która doznaje nad Newą niebezpiecznych olśnień.

Zapewne, z czasem, otarłszy się i o Zachód, otrząśnie się z nich niejeden student polski, skłonny dziś do naiwnych superlatywów i zachwytów, przypominających petersburskie reminiscencje zacnej pani Telimeny.

Ale może niejeden przywiezie do kraju zachwiane poczucie własne, może niektórym zapadnie w głąb duszy trujące zwątpienie, źródło bolesnej rozterki?

WI—SKI.

Fundament narodu.

Najgłówniejszym i najpewniejszym fundamentem narodu jest ziemia.

Naród, z ziemi wyzuty, nie może marzyć o przyszłości własnej, samodzielności i rozwoju. Wsiąka i musi wsiąknąć prędzej czy później w otaczające środowisko, choćby przez szereg pokoleń zachowywał swój język, obyczaje. Przykładem — Żydzi, którzy, pozbawieni ziemi ojczystej, stali się kastą religijną i kupiecką, niezdolną do rozwoju, pasożytniczą i ciemną, lub — w rozproszeniu — przyjmowali kulturę otoczenia i tracili cechy odrębne. Tylko oparte o ziemię narody mogą tworzyć pełne społeczeństwo, zdolne do wszechstronnego rozwoju.

Nawet wówczas, gdy wieki całe pozostają w niewoli, gdy, zda się, znikły bezpowrotnie z widowni świata, jeśli korzenie ich tkwią nadal w ziemi utajone, narody budzą się do życia za pojawieniem promieni słonecznych wolności, pną się w górę i rozwijają wspaniale. Przykładów tego rodzaju zjawisk mamy bez liku, a najbliższe — to rozwój Czech i Śląska.

Szlachta cała zniemczała tam od wieków. Miasta były prawie całkowicie niemieckie. Pozostał jeno lud na roli. I oto z pnia tego naród, jak drzewo się odrodził i zaszumiał.

Jakiż jest u nas stosunek do ziemi, tej ostoi narodu? Jak widać z danych, wskazanych przez Grabca w książce „Polska współczesna w liczbach i faktach“, większość ziemi polskiej jest już dzisiaj w ręku włościan.

„Na sto morgów ziemi polskiej większe majątki zajmują w Królestwie morgów 38, w Galicji — 37, w W. Ks. Poznańskim — 52, na Śląsku Opolskim — 57“.

Jeśli jednak zestawimy liczbę rodzin, żyjących z ziemi, to różnice będą znacznie jaskrawsze i wypuklejsze, bo oto „z ziemi, jako z kapitału, żyje rodzin w Polsce 17,180; w ziemię wkłada zaś swoją pracę rodzin 2,431,470“.

Proces przechodzenia ziemi od szlachty do ludu wciąż idzie naprzód. Dotąd grało w tym rolę główną żywiołowe i wprost fizyczne przywiązanie ludu do ziemi, jako jedynej żywicielki. Obecnie coraz wyraźniej zaczyna się odzywać poczucie obywatelskie.

Tutaj, jak i na innych polach, szlachta poczyna ustępować ludowi. A ustępuje nietylko ze względów ekonomicznych. Traci ona poczucie znaczenia ziemi dla przyszłości narodu.

Ponieważ ziemia z rąk jej, jako klasy, się usuwa, wymyka, więc nie dba już o to, co się z nią stanie.

Sprzedaje je Niemcom, Rosjanom, Żydom, bez różnicy, byle z zyskiem.

Obserwujemy zjawisko to w Poznańskim, gdzie bądź co bądź ziemia dla szlachty stanowi placówkę korzystną. Widzimy to samo w znacznie wyraźniejszych konturach w Królestwie i w Galicji, gdzie ziemia gorzej procentuje.

W Płockim, a obecnie i w innych częściach Królestwa coraz częściej zdarzaja się sprzedaże majątków szlacheckich Niemcom. I nie z gwałtownej potrzeby, nie z nędzy, ale dla zysku większego, dla uniknięcia kłopotów parcelacji — oddaje szlachta polska ziemię w ręce wroga.

Prasa zaś t. zw. „narodowa“ przeważnie o faktach takich milczy dyskretnie. Poczyna przecie reagować na nie sam lud. Znamiennym przykładem zrozumienia znaczenia ziemi dla narodu wśród ludu polskiego, jest piękny list, zamieszczony w roku 1911-ym na łamach *Zarania* z powodu mającej nastąpić sprzedaży wsi Wielkopole w Lubelskim, majątku sukcesorów Suchodolskich, w ręce niemieckie.

Oto co pisze tam B. Wojciechowski, włościanin z pod Sochaczewa:

„My włościanie i robotnicy, protestujemy przeciwko roztrwanianiu ziemi naszej polskiej, która jest zlana krwią naszych bohaterów, a nasiąknięta łzami i potem naszych dziadów i pradziadów.

Wy, co tę żywicielkę naszą od tylu wieków oddajecie w ręce niemieckie, zastanówcie się, co robicie.

Wy, jaśni panowie, że tak was musimy tytułować nietylko ustnie, ale i piśmiennie, wspomnijcie sobie, że ta kochana nasza święta

ziemia jest, jak matka, żywicielka narodu naszego, i, gdy jej nie stanie, gdy ją wy, jaśni i niejaśni panowie, sprzedacie wrogowi, — na czym naród siedzieć będzie?“

Zapewne, niewielu jest jeszcze wśród ludu polskiego, równie świadomych znaczenia ziemi obywateli, lecz jest ich coraz więcej. Myśl obywatelska budzi się i rozwija. Chłop polski coraz więcej staje się świadomy swych praw i swych obowiązków.

Szlachta zaś polska traci nawet przywiązanie do ziemi, jako gniazda rodu, traktuje ją tylko, jako kapitał i gotowa zawsze się jej pozbyć, gdy może na tym dobrze zarobić.

Uroszczenia jej do przodownictwa, do wodzenia na pasku ludu — to nie tyle uroszczenia wyższej kultury, większego kapitału, co uroszczenia tkwiącej w ich psychice — szlachetczyzny.

A że t. zwana opinja publiczna, t. zw. społeczeństwo, t. j. prasa i inteligencja polska— to krew z krwi i kość z kości szlachty polskiej, że każdy prawie Mydłkowski czy Łykowski, o ile zdobędzie trochę grosza, stara się przy pomocy opłaty 50 kop. w redakcji *Tygodnika Illustrowanego* wejść w poczet „urodzonych“, więc — w sprawie unarodowienia ziemi przez udostępnienie przechodzenia jej w ręce włościan — robi się bardzo niewiele. Pod tym względem robi najwięcej Poznańskie, bo ma nóż na gardle. Galicja zaś, autonomiczna Galicja patrzy bezradnie, jak olbrzymie szmaty ziemi z pokładami węgla przechodzą w ręce pruskie.[1]) Za to rozczulają się u nas nad zanikiem dworów i dworków, cienistych alei grabowych, sterczących w niebo dumnie topoli włoskich. Bo gdzież będą snuć swe kilkometrowe powieści różne Mniszkówny? Z jakich sfer będzie czerpać wątek belletrystyka polska, tak zrośnięta z dworem, krwią błękitną, jak żadna inna?

Wszak nie tak odległe to jeszcze czasy, gdy redakcja *Tygodnika Illustrowanego*, drukująca „Chłopów“ Reymonta, otrzymywała od swych prenumeratorów listy, pełne naiwnych wyrzutów i oburzenia, że umieszcza na swych łamach powieść z życia... chłopów.

---

[1]) Niedawno w Zagłębiu Krakowskim hr. Andrzeja Potockiego (b. namiestnika Calicji) żona sprzedała Prusakowi olbrzymie obszary pokładów węgla kamiennego. Prasa «narodowa» milczy o tym fakcie, jakby święconej wody nabrała w usta.

ST. BACZYŃSKI.

Uwodzicielstwo z musu i obłudy.

II.

Pojmowanie zasadniczych pierwiastków twórczości przez autorów z elity dominujących dzisiaj pisarzy polskich jest choatyczne i rozstrzygane przypadkowo, a zarazem nieodpowiednio samemi ich dziełami komentowane.

Wypływa to z braku zdecydowanego wyboru między kierunkiem a tendencją. Powieściopisarz polski przestał się orjentować w granicach sztuki i publicystyki, nie rozróżnia przejść od polemiki ze społeczeństwem zapomocą tzw. „gorzkich słów”, do zagadnień wiele znaczących dla artysty.

Zrodził się przeto objaw własno — lub mimowolnego apostolstwa, posłowania do dusz, które w miarę powodzenia przechodzi w ubóstwienie beztreściowych artystycznie, lecz społecznie ważnych ideologji, słowem tworzy *partyjność literatury pięknej*, gębowanie, wielkie słowa i hasła należące w istocie do zgoła innych zjawisk życia społecznego.

Rozgraniczenia partyjne pisarzy są dziś plagą porządku dziennego rozmów o literaturze. Z jednej strony Sienkiewicz, z drugiej Żeromski, Weyssenhoff i Sieroszewski, literaci i powieściopisarze konserwatywni i postępowi, aż wreszcie posłannicy ideałów narodowej demokracji i zdeklarowanego socjalizmu. Każda partja trzyma w arendzie pisarza zastępującego jej interesy na arenie życia kulturalnego i słuszną wobec tego byłaby obawa przed spartyjnieniem naszej literatury, zmienionej w kanał dla przepływu niesnasek, polemik i t. d. wynikających z ubóstwa rzetelnej, myślącej publicystyki. W każdym razie zapominamy coraz częściej, że literatura może i powinna mieć charakter narodowy, ale nie zna celu budzenia opinji publicznej stwarzania masowej suggestji, ponieważ tutaj okazuje się jej działalność wręcz szkodliwą, przez niemożność wyświetlania sprawy zasadniczo i wyczerpująco, prócz ubocznych względów w rodzaju dróg, któremi dociera do wyobraźni i uczuć społeczeństwa.

Znamiennym objawem, który stoi w ścisłym związku ze wspomnianą partyjnością jest ostateczny postulat nawyku społeczeństwa w stosunku do pisarzy — karmicieli przekonaniowych, zasadzający oś swych wymagań na głodzie ideologji i wspólnych upodobań partyjnych.

(Patrz w *Prawdzie* opinję p. M. Walewskiej o p. Kisielewskim i Woronieckim, pachnącą sentymentem wieszania się na szyji, i wzajemną adorację p. Z. Kisielewskiego w „Widnokręgu“. W apoteozie Micińskiego p. Kisielewski poleca znowu, jako „jedynych, odpowiedzialnych“, swych własnych krytyków i redaktorów Lorentowicza i Feldmana).

Uwydatnia się to w podsuwaniu nieistniejących znaczeń dziełom pisarzy o niezdecydowanym jeszcze kierunku. Sama partyjna zachłanność nie byłaby zjawiskiem tak dalece szkodliwem, gdyby nie ów rozstrzygający wpływ spo-

łeczeństwa na życie wewnętrzne pisarza w Polsce i pedagogiczne zakusy bezmózgich krytyków, którym przypadają w tej grze role tytułowe. Posiadając jak najmniej wspólności z szumnie reklamowanym patrjotyzmem (widać to chociażby z ich nieuctwa), podsuwają dowolną treść przypadkowych znaczeń tworom książkowym, nierozumianym inaczej, jeno w formie wetschnień, wynurzeń i narzekań społeczno-moralno-narodowych. Skutkiem tego leży odłogiem moc zagadnień życiowo ważnych, artystycznych, filozoficznych, które nie wytrzymują konkurencji dyletanckich rozstrzygań powieściowych, nieoświetlone fachowo wprzęgają się w jarzmo stosowanej miłości ojczyzny, oddają się zgłębianiu zaśmieconego bagna własnego niewolnictwa, łamaniu rąk nad duszą polską wogóle i wyzwoleńczej twórczości w dziedzinie terminów, określać mających drogę marzeniom. Przedstawiciele tej uwodzicielskiej krytyki w rodzaju Feldmana i całej falangi pomniejszych o lżejszym mózgu (Wielopolska, Woroniecki itd.) są hodowcami zarazków bezdennej głupoty, kultywują recenzyjną blagę urojonej wielkości serca polskiego i zdrowych łydek. Bije ono na szczęście w sferze innych możliwości. Serce Polski winno bić w mózgu. Trzeba nam orjentacji i podziału pracy nad dziedzinami nauk, uwolnienia się z mętnych źródeł mistyczno-teozoficzno-powieściopisarskiej blagi fantazyjnej pp. Micińskich. Wydziedziczają oni mózg polski z krytycyzmu zapomocą wiary w jego świętą naiwność i niewiedzę, korzystają z jego chwilowej ospałości i niemocy transportując całe wagony ogryzków książkowych i wyniosłych póz do literatury. Usiłują przyzwyczajać czytelnika do lekkiej strawy przygodnie pochwytanych, luźnych wiadomości, budują most nie do przyszłości, lecz do kłamstwa.

Krytycy zakłamują społeczeństwo pozornem odczuciem wzniosłości problemów narodowych (vide frazeologja bezkierunkowa hr. Wielopolskiej o Żeromskim, a ogół przygotowany i poinformowany o napięciu ideologji danego pisarza, śledzi z uwagą i wyczekuje *objaśnienia*, żąda apoteozy, swojej i krytyka, a odpowiedniej pozy od samego autora. Ów, zmuszony do konsekwencji, przeklina w duszy i krytykę i społeczeństwo i młodzieńczych, zawczesnych „twórców parodji koturnowego odrodzenia“.

Idąc śladem manjackich gustów, które zależą od chimerycznych upodobań niepowołanych wartowników idei społecznej, sięgamy w głąb zależności pisarzy zdawałoby się wolnych, obciążonych jednak kontrybucją konsekwentnej odpowiedzialności ideologicznej. Partyjność zrodziła konsekwencję, to też mszczą się teraz wzajem na sobie.

Żąda się od pisarza zastoju wyrażonego zgodnością z głupstwem czy prawdą, którą wypowiedział, nie dziwimy się ograniczeniu ludzi dawniej rozsądnych, uświęcając tem tryumf ogólnej głupoty. Strupieszałość obecnej krytyki pozwala na mijanie rzeczy tego rodzaju ze starczą obojętnością i z góry pisaną zgodą, stwierdzając słabość kierunku myślowego człowieka miarą odwiecznych, akademickich kanonów, lub też z Francji importowaną „lotnością umysłu krytycznego“, w najgorszym rodzaju. Byle interes szedł — jakby rzekł p. Feldman — i osła wynieść można na piedestał polskości, byle gadał niby wieszcz; oto cielec papierowy, symbol kołtuństwa pozwalający sobie na niestworzone konszachty z duszą polską (wogóle!?), przeprowadzanie i propozycje rozmaitych międzynarodowych ugód, zachęcenia społeczeństwa lekkimi klapsami rozczulenia do życzonych zamierzeń. Każdy uważa się dziś za uprawnionego do szarpania w swoją stronę duszy polskiej (wogóle!?), czyni z niej posłusznego błazna. Głowią się mózgi poetyckie nad rozciąganiem problemów społecznych, narodowych i td. w formie powieści, tyrad, monologów dramatycznych i rosną na miarę reformatorów wszechstronnych zagadnień bytu polskiego.

Anglomanja p. Nowaczyńskiego, któremu należały się cięgi za pretensjonalne pomijanie szuwaksu polskiego nieustępującego zagranicznym, zalicza się także do kategorji tych „złotych interesów“ robionych na chamskiem pluciu w twarz otoczeniu, ot! tak dla zabawy innych.

Nie idzie bowiem o to, czy „szwindel“ się uda, lecz o to, by go nie było wcale. — Naród wzwyczajony nie zajmuje się niczem — czyta pilnie powieści, w których zawiera się wszystko, prócz kierunku.

To też pisarz albo jest piłką rzucaną ślepo i nigdy nie dowie się niczego o sobie, jeno o rzeczach przypadkowych i niewłasnowolnych, albo sam bawi się piłką —narodem, wyzyskując łatwowierność i nizki stosunkowo zakres orjentacji kulturalnej u nas.

Żeromski np. wraz z głębokim artyzmem stanął na usługach pokrywanej tendencji ideowców partyjnych, stracony został dla całego społeczeństwa, by żywić bodaj czy nie najniższą kulturalnie jego sferę. Można uznać głębię jego talentu, czcić artystę, lecz oczekiwać odeń rozwiązania przyszłości Polski jest rzeczą conajmniej naiwną, która zrodzić się może w głowie postarzałej entuzjastki, nigdy myślącego człowieka. Nauki społeczne kompetentne w tym wypadku muszą milczeć, niema ich wobec nadmiaru kabotyńskiego rozpasania histerycznych poglądów. Dlatego to zamiast dzieła o możliwościach rozwoju ekonomicznego u nas otrzymaliśmy kasetkę Dana, aeroplan Rozłuckiego i wiele tym podobnych cudacznych eksperymentów. Oto skutki pretensji tych sfer do Żeromskiego,! unoszące się nad jego głową jak zewsząd dostrzegalny, możliwy cios zabójczy. „Wierna rzeka“ oddała najwierniejszy pokłon uniżenia zapałom dziarskiej młodzieży, podczas nastrojów wojennych, Czuć w niej dzwięki pobudki, odezwę bojową, strojną w romantyczne zachęty: konik, szabelka i dziewczyna. Uderzono w odpowiednie miejsce, rychło wczas.

Z twórczością Żeromskiego pokrótce zaradzić sobie trudno, to jedno wiadomo, że podejrzewać go trzeba już teraz o apostolstwo z musu. Pozycja dla artysty zaiste niewygodna.

D. n.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Rozpoczynając dla *Prawdy* analizy widowisk teatralnych w Warszawie zatrzymam się najpierw nad Teatrem Polskim, stojącym od kilku tygodni pod znakiem Pigmaliona.

B. Shaw przemawia ze sceny: właściwie cyka dwusiecznym językiem jakby chciał odwrócić uwagę widza od powagi tych obrazów, które mkną kalejdoskopowo a zdradzają jego czyste i gorące serce irlandzkie. Nad całością sztuki, gdyby z pośród mgły wychyla się twarz Pigmaliona, mit, którego najgłębszą (i naprawdę istotną żywą interpretację) dobył Shaw bezświadomie ze swych najbardziej utajonych tęsknot i obaw.

Eliza Doolittle, dziecko nędzy i niewoli przeistacza się w szponach dwóch Anglików na uświadomioną „żywą“ siłę. Prostuje się ona przez zawrotną drogę wewnętrznych upokorzeń jak Irlandja dzisiejsza do siły sztychu. W Synge'u szukała krytyka warszawska alegorji czy symbolów wyspy Erynu, które bez kropek nad i, a jednak więcej niż przejrzyście rysują się w Pigmalionie Shawa. Wesołek Synge'a był pieśnią poety o narodzeniu się i zmaganiu się bohatera, tem samem jest Pigmalion.

Tylko u Synge'a bohater wyrastał bardziej ze siebie i przez siebie (bardziej po męzku), tu zaś wyrasta on bardziej po kobiecemu, skoro bohaterem jest Eliza.

Tytuł komedji Shawa określa najgłębsze myśli poety, akcja je precyzuje a słowa, słowa pomimo całej powodzi pozornie bezplanowo roztrzeliwanych paradoksów głoszą jedną i tę samą prawdę: *jutro pocznie nowa siła pazurami swoimi rozdzierać tych brutalów, którzy śmieli w żywej sile widzieć tylko wiwisekcyjny materjał.*

Co wieczór zatem biały sen Pigmaliona, władcy-artysty wyspy Cypru roztacza w Warszawie swe skrzydła.

Czy to jest jednakowoż dobrze, że tak dzień po dniu bez przerwy już od tygodni? Zagranicą utarł się — zwyczaj, że sztukę puszcza się jak młyn do kręcenia, dopóki nie zabraknie ziarna, to jest publiczności. Warszawa naśladuje taki modus z krzywdą dla siebie. Aktor polski bowiem jest ogółem wrażliwszy, bardziej twórczy, bogatszy w odcienia muzykalne niż aktor na Zachodzie; mniej ma danych na to aby powtarzał jak kołowrotek lub tybetański modlitewnik z dnia na dzień tę samą twórczość aż do zbrzydzenia i wyczerpania. Różnice w graniu sztuki powtarzanej stale przez dłuższy przeciąg czasu nieprzerwanie w Warszawie są w miarę każdego przedstawienia coraz większe niż różnice w Wiedniu lub Paryżu. U nas już po kilku wieczorach zachodzi pewne zdeformowanie lub sparodyowanie, tak że publiczność na 5-tym już przedstawieniu z rzędu zostaje bardzo pokrzywdzoną. Polacy są zmuszeni rozwiązać problem, którego ostrze na Zachodzie na skutek odmiennej struktury psychicznej jest mocno stępione: należałoby warszawskim teatrom zawsze przygotowywać dwie lub trzy sztuki równocześnie, aby módz je między sobą przeplatać.

Zresztą i na Zachodzie młynkowanie monotonne danej sztuki jest poniekąd uświadamiane: wystarczy wskazać na t. zw. dublowanie głównych ról, zatem ról najbardziej twórczych czyli wymagających największego wysiłku pracy.

Uwagi powyższe powstały we mnie z powodu p. Przybyłko, jako Eliza zmuszonej grać w najwyższym natężeniu co wieczór blizko cztery godziny i to bez żadnej prawie przerwy przez tygodnie; wielka ta artystka na skutek wyczerpania zmuszona została nagle przerwać na dzień lub dwa zapowiedziane przedstawienia.

Teatr Polski posiada w *M. Dulębiance* pierwszorzędny talent mogący zastępować Przybyłko. Dublowanie Elizy Doolittle mogło by mieć wartość wielką z punktu interpretacji sztuki, Dulębianka bowiem sądzę, byłaby może bliższą zamierzeniu samego Shawa. P. Przybyłko gra Elizę doskonale; miejsca, jak owo otwarcie oczu na fotelu w noc burzliwą są nieporównane i stanowią szczyt gry wielkiej artystki o której już pisałem niedawno w *Myśli Polskiej* (N-rze 3, marzec 1914). Niemniej jednak sądzę że p. Przybyłko w Pigmalionie zbyt rozciąga skalę zakreśloną przez ramy utworu: zamiast być niewolnicą tylko (ze zgrzytem tłumika) jest ona na początku zbyt agresywną i przez to trochę krzykliwą; przy końcu akcji znowu kiedy dojrzała na „wolną“ siłę, jest nieco zbyt sprecyzowaną w sztychu, powiedziałbym wyrafinowanie kapryśną. Są to zarzuty z punktu interpretacji roli Elizy: Dyrekcja miała obowiązek poprzedzić ascenizację Shawa konferencją dla aktorów grających dany zespół i przez to stłumić w zarodku wschodzący rozdźwięk trójki protagonistycznej. Nie wolno rozdawać ról aktorom i kazać im grać bez oświetlenia generalnego sztukę, którą mają grać: trzeba wybrać interpretację którą się uważa za wskazaną i tę interpretację przejrzyście i definitywnie przeprowadzać aż do najmniejszych cząstek!

Dulębianka posiadająca jak i Przybyłko ogromną skalę twórczości, trzyma się bardziej zdecydowanych intelektualnych momentów a przez to i biernych odruchów, a tych potrzebuje prze-

dewszystkiem sztuka Shawa. Stąd kwiaciarka Dulębianki byłaby sądzę trafniejszą, bardziej niewolniczą i sponiewieraną, potem zaś w swoim rozwoju mniej wychodzą poza granicę zakreśloną przez sztukę: to jest siły *nierozegranej*. Przybyłko na skutek przewalających się w niej bogactw twórczych rozciąga nadmiernie ramy sztuki i przez to rwie ostrymi przejściami i staje w sprzeczności z drugim tonem tejże sztuki, prof. Higinsem, którego Zelwerowicz gra zdumiewająco prosto i czysto, z inwencją żywiołowo ujętych akcentów pośród doskonale zorganizowanego tempa. Tym zaś tempem może być tylko prosto na początku i przy końcu, zaś silne *andante* nawet *largo* pośrodku: owej nocy burzliwej otworzenia oczu w Elizie. Dysonans tonów zasadniczych (Zelwerowicz i Przybyłko) krzywdzi trzeci ton główny: pułkownika, którego gra Wiślański. Ten ton jest przecież tonem oparcia dla obu tonów pierwszych, zatem tonem definitywnej siły.

Niestety ten ton pozostał w cieniu i zbyt na drugim planie, ze szkodą sztuki, która jest bardziej przejrzystą niż posądza wielu widzów.

HELION.

Skry.

Blizkiej Nieznajomej.

Czyli ty będziesz tą jedyną,
o którą walczy ze mną Bóg?
Ideą, wiarą, podwaliną
pod mój tryumfalny łuk?

Twoje-ż to usta mnie nauczą
milczeniem wypowiadać głąb?
Twe dłonie wiotkie — stać pod tuczą
i gromem mocniej, niźli dąb?

W twoje-ż to imię śmiech przeleję
i łzy i radość, jako w dzwon?
Cyt! Słyszysz? Kur poranny pieje:
Na zdar snom naszym, czy... na zgon?

JAN LEMAŃSKI.

Gnoti Seauton.[1]

Il faut que l'homme soit le père, et non pas l'oncle de sa propre vie.
H. Höfding.

Pomagaj sobie, a Bóg ci pomoże.
Lud.

3.

Często się u nas powiada: «Gdybyśmy mieli odpowiednie środki, gdybyśmy byli w dobrych warunkach geograficznych, tobyśmy dopiero światu pokazali. Gdybyśmy byli tak wysoko, jak Szwajcarowie, albo tak wyspiarsko odgraniczeni od reszty świata, jak Anglicy, albo gdybyśmy byli zjawili się *pierwsi* w dziejach ludzkich, jak Assyrja i Babilon, jak Egipt, jak Grecja, jak Rzym.»

Przytacza się też u nas słowa biblijne o ziarnach, z których jedno upadło na opokę i nic nie wydało i inne na grunt urodzajny a więc wydały. Tak, ale zapomina się o tem, że choćby na najurodzajniejszy grunt upadło ziarno *piasku*, to nie wyda nic tak samo; natomiast, owszem, ziarno choćby rdestu na opokę gdy upadnie, może się przyjąć i tę opokę zwyciężyć. Wszakże właśnie na opoce zaszczepione ziarno kościoła przyjęło się i tak bujnie rozrosło... *Tu es petra, et super hanc petram aedificabo...*

Tak. Naród to jest to co się naradza samo, co warunki swoje stwarza, a nie toć jest warunkami uwarunkowane, podniewolne.

Trudno bodaj o warunki gorsze, niż te, w których znajdowali się Holendrzy. Holandja ma nazwę od wyrazu *hollow* — zapadły, pusty. Holandja nazywa się też *Pays-Bas*, krajem położonym w warunkach najniższych *(Neederland)*, najniekorzystniejszych geograficznie, a mimo te złe warunki zrobiła właśnie to samo, czego w najlepszych warunkach dokonała Anglja: zwyciężyła morze. Dlatego słusznie oba te kraje, Holandja i Anglja, mają w herbie — lwa.

Anglicy może dokazali więcej, bo owładnęli morzem (oceanem) w jego własnej norze, kryjówce, której na imię — ogrom, bezmiar.

Tyczasem Holendrzy nie szukali morza tak daleko. Morze samo przytoczyło do ich kraju

---

[1]) W poprzednich dwóch odcinkach omyłki drukarskie. W I-m w. 9 wykreślić wyraz *prawie*; w 2-m zam. Badatliwy Cyrano de Bergerac powinno być Gadatliwy Cyrano de Bergerac.

swoje fale druzgocące opór i zalewające wsi i miasta. Holendrzy nie zlękli się tego najeźdzcy i stworzyli rzecz w swojej prostocie i sile jedyną. Stworzyli kraj niższy niż morze, wydarli morzu dno, otamowali ten najgroźniejszy najpotężniejszy na ziemi żywioł.

I nie tylko ten.

Morze to żywioł choć życie rodzący, ale sam nie żywy. Bo jest żywioł jeszcze jeden, stokroć wyższy, prawdziwy żywioł, gdyż będący sam życiem. Ten żywioł — to człowiek.

Holendrzy zwyciężyli najście na siebie i tego żywiołu: zwyciężyli najazd Hiszpanów, zwyciężyli najpotężniejszego wówczas monarchę, najgroźniejszego, najokrutniejszego samowładcę Zachodu — Filipa II-go.

Naród, który tych czynów dokonał, może teraz, jak agawa po utrwaleniu się na opoce, albo jak tulipan, który się na wydartej morzu glebie przyjął, wydać z siebie również kwiat, kwiat ludzki — sztukę.

To prawda, że charakteryzuje nas nasz przeciwnik. Z kim walczymy, ci nas nasycają niejako swojem jestestwem. Holendrzy mieli do zwalczenia morze i ponurego króla tyrana.

Sztuka Holendrów jest rozlewna jak morze i do dziś włada nad nami tyrańsko. Rembrandt to artysta posiadający rozlewność morskiego żywiołę i jednocześnie król, tyran, despota mroków. W tych ponurych cieniach rembrantowskich wyraził się mroczny, zamknięty w sobie. klauzurowy, klasztorny, mniszy duch króla Filipa.

Ta zamkniętość, ta klauzurowość, wyraziła się również i w drugim artyście holenderskim — *van* Ostade. Jest to malarz, jak wiadomo, tych scen, tych przedmiotów i rzeczy które stanowią t. z. wnętrze. W nim, w *van* Ostade ujawniła się miłość narodu do tych właściwie *wnętrz*, których nie pozwolili sobie zalać ani morzu ani ludziom zaborczym i tyrańskim.

Obrazem allegorycznym przedstawiającym Holandję mógłby być np. taki obraz.

Na tle nieba wypogodzonego, jak po burzy, kiedy zaledwie kilka chmurek świadczy o możliwości wogóle jakichkolwiek trosk, siedzi sobie na wybrzeżu portowem czerstwy, ogorzały, z siwemi bokobrodami i z niebieskiemi poczciwemi oczami Holender i pali krótką fajeczkę (z doskonałym tytoniem) spokojny, niewzruszony, krzepki. Opodal widać lwie kadłuby okrętów, widać kominy dymiące na kształt gigantycznych fajek, widać maszty, reje, żagle. Gdzieś z boku sceny na dalekim planie wiatrak z rozpostartemi w kształcie krzyża śmigami teraz, że cisza, stoi i tylko zdaje się jakby, krajowi błogosławił... Morze przypłynie czasem, poklepie ten kraj po grobli i zdaje się szeptać: czujny jesteś, roztropny, pracowity, mężny, zwyciężyłeś mię, ale choć na to czasem szemrzę, przecież się muszę przed tobą korzyć, bo ci nie podołam — nie podołam, tak jak książe Alba, który stępił na tobie swój system tortur. Teraz, wolny — żyj!... Wianek dzieci trzymających się za ręce, wianek dzieci — chłopcy w swoich szerokich, niezmiernie szerokich szarawarach, w trepkach drewnianych (zabezpieczających od żwiru i wody wspaniale) i dziewczęta jak świeżo rozkwitłe hyacynty i tulipany blond, o oczach jak habry w złocie zboża — ta dzieciarnia (to zboże ludzkie) trzyma się za białe rączki i jest jakby w sennem szczęściu, a przecież tak rzeczywistem. A szczęście to — to poczucie swobody.

Bo nawet w krainie, która dla swej najniższości ziemskiej nazywa sie *Pays-Bas*, może człowiek, może naród swoje szczęście, swoje niebo zdobyć, jeżeli je zdobywa, *mierząc*, nie zamiar podług sił, tylko właśnie: mierząc *siłę podług zamiarów*. Bo tam gdzie zamiar mocny, tam znajdzie się i siła.

Drzazgi.

Mało wiedzy odwodzi od Boga — powiadają metafizycy; dużo wiedzy z powrotem do Boga przyprowadza. Pięknie. Lecz jakże wiedzę dużą osiągnąć, gdy się małej nawet nie nabędzie?

* * *

Istnieją w Warszawie dwa pisma ugodowe i oba zawieszone zostały na kołku konfiskaty.

Ale bo też wielkie są ich winy: zgrzeszyły oba zbytnim zaufaniem... w miłosierdzie boże.

Książki nadesłane do Redakcji.

Emma Jeleńska: «Trzy pokolenia». Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1914. Warszawa — Lublin — Łódź — Kraków — New-Jork. Str. 278.

E. M. Dell: «Szlakiem orła». Przekład z angielskiego H. J. P. Powieść. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Składy główne: E. Wende i Sp. Warszawa. L. Fiszer w Łodzi. Str. 438.

Piotr Jan de Béranger: «Piosenka». Wybór przekładów polskich. Układ Władysława Nawrockiego. Słowo wstępne Jana Lorentowicza. Tom I i II: Str. 205+196. «Muzy» — biblioteka literacko-artystyczna pod redakcją J. Lorentowicza.

Mr. Robert-Huch Benson «Les Confessions d'un Converti». Traduit de l'anglais avec l'autorisation de l'auteur par Teodor de Wyzewa-Librairie Perrni, Paris.

Anatole France: «La Révolte des Anges». Roman. Paris.

Alaert Dauzat: «L'expansion italienne». Paris.

Giovanni Papini: «Sul Pragmatismo». Saggiericerchi Milano 1913.

Michał Sokolnicki: «Skrzynecki». Studjum strategiczne. Tom II wydawnictwa historyczno-wojskowego, podjętego przez Karola Rzepeckiego w Poznaniu. Pod redakcją d-ra Marjana Kukiela we Lwowie. Ilustracje Zygmunta Pozwadowskiego. Str. 126. Cena kop. 60.

Ofiary.

Na Kruszynek: W. Keppe z Łodzi kop. 50.
Na kolonje letnie L. Monowid z pankowskiej Stanicy zamiast mszy świętej za duszę ojca w rocznicę śmierci. rb. 3.
Na gniazda sieroce L. Monowid z pankowskiej Stanicy rb. 5.
Na pomoc studentowi rb. 30 i
Na wpisy dla biednych uczniów szkół prywatnych polskich rb. 64 kop. 81.
od następujących pracowników T-wa Nikopol-Mariupolskiego w Sartanie:
Lud. Wasilewski rb. 15, F. Jabłkowski rb. 25, T. Kobyliński rb. 6, J. Rzewnicki rb. 6, L. Gorazdowski rb. 6, S. Klingenberg rb. 6, S. Prauss rb 5, S. Pilarski 4, S. Poradowski rb. 3, I. Tomaszewski rb. 3, S. Hegner rb. 1, W. Lenk rb. 1 H. Cywiński rb. 2, S. Szczawiński rb. 2, A. Kozikowski rb. 1. J. Rayski rb. 1, B. Świestowski rb. 1, A. Hoppen rb. 1, R. Świetliński rb. 1, K. Prauss rb. 1, J. Woroszyłło kop. 50, A. Misiewskikop. 50, A. Prokopowicz kop. 50, W. Popiel kop. 50, S. Słojewski kop. 50, W. Zieliński kop. 31, S. Harland rb. 1. Ogółem rb. 94 kop. 81.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

OTYŁOŚĆ I JEJ LECZENIE

Cechą charakterystyczną otyłości stanowi nadmierne nagromadzenie się w tkankach tłuszczu, który utrudnia działalność narządów, i stanowi źródło ustawicznych udręczeń w życiu codziennym chorego i staje się powodem ciągłego niepokoju o zdrowie.

Spostrzeżenie przekonywa, że kobiety częściej podlegają otyłości, aniżeli mężczyźni, a to dzięki większej skłonności płci pięknej do tego cierpienia z powodu pewnych właściwości ustroju kobiecego.

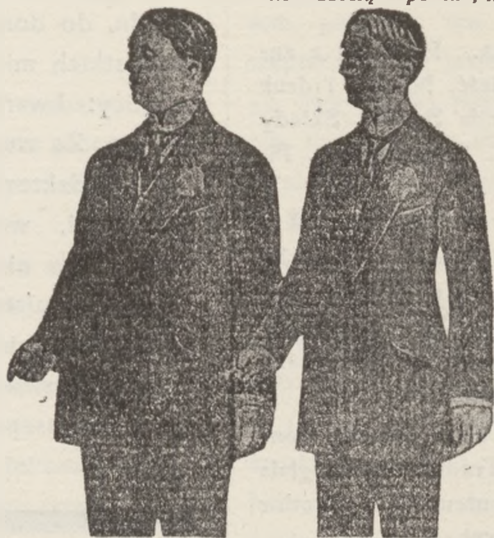
Z drugiej zaś s rony, otyłość nie stanowi rzadkości i wśród dzieci, u których to cierpienie dochodzi niekiedy do znacznego stopnia rozwoju.

Leczenie otyłości dało dowód doświadczeniu do stworzenia całej masy bezzasadnych i wprost naiwnych przepisów postępowania, które stały się bogatą kopalnią, skąd szczodrą ręką czerpała szarlatanerja wszelkiego rodzaju. To też przy wyborze środków w omawianym wypadku należy być wielce ostrożnym.

Niezmiernie ważną jest rzeczą aby leczenie otyłości było stosowane stopniowo i w sposób łagodny: strata 5 do 7 funtów na miesiąc, trwająca stale w ciągu określonego czasu w większości wypadków powinna być uważana za wystarczający wynik kuracji. Taki umiarkowany ubytek wagi jest zwykle znacznie trwalszy, aniżeli gwałtowny jej spadek. Dlatego też po kilkodniowym leczeniu należy przerwać kurację na 12 dni i dopiero po tej przerwie rozpocząć ją na nowo.

Z pośród wielu środków, stosowanych przeciwko otyłości, najgodniejszym polecenia jest jeden, działający pewnie i zupełnie nieszkodliwy dla ustroju, który będąc stosowanym przez lekarzy od 6 lat, dał im sposobność przekonania się o jego skuteczności: „JODYRINA“ (IODHYRINE) odkryta przez D-ra Deschamp'a znanego lekarza francuskiego, jest właśnie tym lekiem, na który zwracamy uwagę.

JODYRINA wzmaga wydzielanie się żółci i przyspiesza przemianę materji i istotnie odmładza ustrój, przywracając chorym utraconą energję i żywość ruchów, stanowiący rażący kontrast z poprzednią chorobliwą ociężałością i ospałością. Chorzy czują się silniejszymi, posiadają więcej energji i stają się zdolniejszymi do większych i dłuższych wysiłków; chód ich przestaje być ociężałym, mniej się pocą, wyzbywają się senności, trawią lepiej, dzięki czemu sen ich nie pozostawia nic do życzenia.



Skutek 3 miesięcznej kuracji Jodyriną D-ra Deschamp'a.

Opierając się na sześcioletnim doświadczeniu najwybitniejszych lekarzy całego świata, możemy z całą stanowczością zapewnić, iż stosowanie Jodyrny przeciw otyłości stanowi jedyny i zupełnie racjonalny środek leczenia tego cierpienia, sposób który nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa dla ustroju, a który został zbadany dokładnie i oparty na wiedzy czysto naukowej.

Tysiące zaświadczeń, ustawicznie nadsyłanych na ręce D-ra Deschamp'a stanowi prawdziwie „złotą księgę“ Jodyriny. Powyższe zaświadczenia mają tym większą wagę, że są nadsyłane z własnej inicjatywy chorych co też zniewala D-ra Deschamp'a do zachowania dyskrecji i do nieogłaszania ich bez bezpośredniej zgody osoby zainteresowanej.

JODVRINA D-ra Deschamp'a nietylko jest lekiem swoistym przeciwko otyłości, ale, będąc stosowana zapobiega temu cierpieniu u osób, dotkniętych artretyzmem, dną (podagrą, gośćcem, reumatyzmem), małokrwistością u kobiet, zbliżających się wiekiem do okresu przekwitania i t. p. słowem u wszystkich, którym w krótkim czasie grozi otyłość. We wszystkich tych przypadkach nie należy zwlekać z rozpoczęciem kuracji, gdyż każde opóźnienie często pociąga za sobą niepożądane skutki, nierzadko jest połączone nawet z niebezpieczeństwem dla samego ustroju.

EMIL GAUTIER

Sprawozdawca naukowy czasopisma paryskiego „Le Journal“.

JODYRINA D-ra Deschamp'a znajduje się w sprzedaży we wszystkich aptekach, składach aptecznych po cenie Rb. 4.25 za pudełko zawierające 60 pastylek w opłatkach.

Przy pudełku dołączony jest szczegółowy opis ze sposobem użycia w języku polskim. Reprezentacja Główna na Rosję i Królestwo Polskie: Dom Handlowy Luxemburg i S-ka, Żórawia 40, w Warszawie.

Redaktor: Wincenty Rzymowski. Wydawca: Józef Jabłoński.

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, Św.-Krzyska 11.